# Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 20. Poznań dnia 13. Sierpnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

Zbiór starożytności słowiańskich w muzeum berlińskiem.

Nigdzie pewnie nie masz tyle i tak ważnych zabytków starożytności słowiańskich razem zgromadzonych, jak w muzeum berlińskiem. Blaskiem okazałych dzieł sztuki rozłakomione oko, nie znajdzie tu dla siebie upragnionego nasycenia: opuści może salą, nieprzeczuwając nawet, jakie się w niéj ukrywają skarby; bo cóżby tu ważnego było, pomyśli sobie niejeden; — urny rzędami ustawione, nie odznaczają się ani pięknością form swoich, ani wspaniałością ozdób, różne niepozorne naczynia i sprzęty do potrzeb życia służące. Prawda, nie są to arcydzieła Greków albo Rzymian, ale są to ważne historyczne świadki odległéj przeszłości, co w nieméj wprawdzie, lecz dość dla nas zrozumiałéj mowie, opowiadają nam życie ludu, którego historya szczuple nam tylko do chowała ułomki.

Te szczątki dają nam poznać stan oświaty narodu, jego świetność i potęgę, związki z innemi krajami; i im bardziéj w tych zapomnianéj przeszłości zatapiamy się zabytkach; tym większe w nas wzbudzają podziwienie. Jak skamieniałe szczątki zwierząt przedpotopowych, zwracają myśl badacza do początku stworzenia: tak tutaj z ziemi, którą codziennie nogami naszemi depcemy, wychodzą na jaw długo ukryte pomniki życia, tak licznego i silnego pokolenia, dopomagające dziejopisowi do rozpędzenia ciemności pierwszych wieków. Wszędzie prawie napotykamy kilka tylko stóp pod ziemią, na mogiły przodków naszych, którzy ulubione w życiu rzeczy, z sobą do grobu zabierali, a teraz nam je jak gdyby na tysiącznoletnie powitanie przesełają. Na takie pozdrowienie powinno się w nas żywe obudzać uczucie! Czyliż na ten widok zniknęgo już świata nie znajdziem się w tém samem położeniu, w jakiem Rzym, którego mieszkańcy, podług zapewnienia ojców kościoła, zadrzeli z przestrachu, gdy niezliczone chrześcian roje wysypały się naraz z podziemnych katakomb, i gdy drugi Rzym, ukrywający się dotychczas pod stopami pierwszego, wynurzył się z ciemnéj otchłani.

Nie tylko historycznie, lecz i pod względem sztuki, zbiór ten nader jest ważny, ponieważ nam przedstawia najwierniejszy obraz stanu oświaty i kunsztów. Niemniéj zajmuje każdego znawcę techniczna doskonałość różnych przedmiotów: urny rozmaitego kształtu z popiołami w ziemi zakopane: powiększéj części rzadkiéj są piękności. Podobnież narzędzia z bronzu, które, jak się to dość jawnie pokazuje, także w kraju wyrabiane były, okazują niepospolitą biegłość w wyrabianiu kruszców.

Zbiór berliński zawiera w ogóle 3000 numerów, dwieście urn i przeszło 1500 kruszcowych lub kamiennych sprzętów. Sprzęty ze złota i srebra, zapewne z obcych krajów sprowadzone, służą za dowód, że Pomorzanie i inne ludy nad Baltykiem mieszkające, obszerne związki handlowe ze wschodem zapewne utrzymywać musiały; grube łańcuszki srebrne, może w zamian za produkta krajowe, mianowicie za bursztyn nabywane, grube złote pierścienie znacznéj wielkości, różne do ozdoby służące rzeczy, nadto pieniążki złote, srebrne, świadczą o zamożności i dostatkach Słowian. Sprzęty bronzowe najdelikatniejszéj roboty, obrączki na głowę, na szyję, na ręce, naramniki, haftki i sprzączki, szpilki; nadto inne ozdoby, zapewne ubiory na konie i t. d., miedziana broń, między innemi znaczna ilość narzędzi do dłotek naszych podobnych.

Wszystkie te przedmioty z bronzu, powtarzane także w mniéj szlachetnym kruszcu, żelezie, powiększéj części aż do niepoznania, mocno są zoxydowane: rzadko tylko gdy przedmiot leżał w popiele, dość dobrze zachowany. Z kamienia także nie mało jest rzeczy, mianowicie berdysze, ostrza od dzirytów, maczugi i. t. d. Nakoniec bardzo ważny, z miedzi

wyrobiony Relief przedstawiający kolosalną półfigurę człowieka bez rąk, twarz promienistą. Pochodzi ona z klasztoru Kolbac w Pomeranii, i uchodzi za dawne pogańskie wendyjskie bóstwo słońca. Dokładne opisanie wszystkich tych drogich szczątków, szczęśliwem zdarzeniem zachowanych od zatracenia, mogłoby wyjaśnić ciemność, która dotychczas pokrywa historyą naszych pogańskich przodków. Najlepszą do tego sposobność mają ziomkowie nasi mieszkający obecnie w Berlinie; i zapewne zjawi się jaki miłośnik słowiańskich starożytności, który nie tylko nam udzieli bliższéj o tych skarbach wiadomości, ale nadto ważne ztąd dla historyi i życia pogańskich Słowian wyprowadzi wnioski.

Literatura krajowa.

P o e z y a.

D o b o s z.

Oleksa Dobosz był synem wojskowego polskiego dobosza, ztąd lud zowie go właściwie Doboszczukiem. Hajdamaka ten miał główne siedlisko na Czarnéj górze na Pokuciu, w dzisiejszym obwodzie kołomyjskim, zkąd przestraszał okolicę i zapuszczał się nieraz w dalekie strony Pokucia i Węgier. Bolechów w czasie jarmarku napadł i złupił. Kochał się w żonie niejakiego Stefana Dzwinka i padł zdradzony od niéj. Stać się to miało w wielkim Kosmaczu. Niedaleko wsi Barwinkowéj pokazują na górze kamień, zwany kamieniem Doboszczuka. Dumka o nim jest najulubieńszą u ludu, tak dla swéj poetyczności, jako i miłéj melodyi.

Po pod gaj zielony chodzi
Hajdamackiéj wódzca młodzi:
Nogę wspiera na toporzec,
Wzrok w daleki sięga dworzec,
Łoskot wstrząsa połoninę,
To grzmi Dobosz na drużynę:

»Nuże, nuże Czornohorce
Za watażki, za toporce,
Lekkie skórnie, pas szeroki,
I jedwabne przywdziać włoki,
I kindżały i rusznice,
Wraz nam, wraz na wieczornice! — «

»»Oj Doboszu, ty nasz panie!
Zła to pora: jęczą kanie,
U stóp mroczy się dąbrowa,
Nad głowami dzięcioł kowa,
Dymią góry, szumią brody,
Na zasadzki, na przygody. —««

»W strzelbę dwie kule, dwa noże
Za pas; resztę topor zmoże.
Czy się zdarzy, czy nie zdarzy,
Tu wam widzieć, tu w téj twarzy,
Kto ją zaćmi, temu wtulę
W pierś dwa noże, w łeb dwie kule.«

O północy przez Kosmacze
Rozbudzona wrona kracze,
U Stefana Dzwinka żony
Miga w dworcu żar ztłumiony.

»Zając drogi i rozdroża. —
Tużeś, tużeś moja hoża!
Ucisz, utul serce młode,
Daj ochłodę, daj osłodę,
Spędź tęsknotę, zniszcz tę trwogę.
Czy śpisz?«
— »»Nie śpię; spać nie mogę.«« —
»Jesteś sama?«
— »»Tak; przed chwilką . .
Teraz, sama, sama tylko.«« —

»W noc i tuczę biegnę do cię,
Sąż rozkosze, sąż łakocie?«
— »»I łakocie i rozkosze
Wnet zastawię, wnet zaproszę,
Uczczę hojno, przyjmę ładnie,
A do serca uczta wpadnie;
Bo rozkoszna, bo miłośna,
I w świat wszystek będzie głośna.«« —

»Odchyl, odchyl drzwi zawistne,
Niech obejmę, niech uścisnę.«
— »»Zaraz, zaraz; ach! tą razą
Twarde dzieli nas żelazo!«« —

»Ale twardsza moja ręka,
I stal przed nią i mur pęka,
I pryskają w szczęt zamczyska.
Czy odmykasz, czy niech pryska?«
— »»O, dłoń moja ni odmyka,
Ni uściśnie rozbójnika!«« —

Z bark rzęsiste zmiótł kędziory,
Trzeszczą odrzwia i zapory,
I z za odrzwi celne strzały
Wraz Dobosza pierś strzaskały.

»Nuże, nuże Czernohorce,
Pochwyćcie mię na toporce!
Niech nie ginę śmiercią marną;
Zanieście mię w górę-czarną,
Tam na górze, tam daleko
Niech mię w drobny mak rozsieką;
Kiedy w naszéj Czarnogórze
Zadmą wichry, wstaną kurze,
Niech z burzami przez doliny
Grzmię — i straszę wraże — syny.«

»»Oj Doboszu, ty nasz panie!
Cóż się teraz z nami stanie,
Gdzie noclegiem, gdzie gospodą,
Gdzie nam złożyć głowę młodą?««

„Tam, od wschoda do zachoda
Jak świat wielka wam gospoda,
Jasna, wolna i przejrzysta,
Niekielznany wiatr tam śwista,
Niescigniony ptak tam hula:
Ni was szabla, ani kula,
Ani brudna mogił córa
Nie tknie ziemia, nie tknie chmura;
Tylko zlekka nocną ciszą
Wiatry do snu zakolyszą,
Rankiem zlecą rody ptasze
To w gościnę, to na paszę.“

*A. *.*

Zamek Rydzyński.

(Powieść.)

Najokazalsze gmachy, najstarożytniejsze nawet ruiny są tylko zimną martwych głazów massą, jeżeli nie mają żadnego historycznego podania, lub jakiéj powiastki, coby z ich murów wyrosła. Najmniejsza o nich gadka wlewa niejako w ich martwość duszę, przykuwa do nich pamięć, zaludnia ich pustość, chylącą się nawet ich zgrzybiałość zielonym zawsze poezyi umaja bluszczem.

Jednym z najrozleglejszych gmachów Wielko-polski, jest zapewne zamek Rydzyński. Nie doliczył on jeszcze spełna dwóch wieków, nie zczerniał starością, a przecież dziwnem zdarzeniem wyprzędła się już z jego murów powiastka, godna Tęczyńskich lub Kazimierskich zwalisk. Któż wie, czyli ten gmach ogromny nie stanął na miejscu jakiego starożytnego dworca, po którym tę gadkę i jéj widmo odziedziczył.

Ale jakże nazywać to gadką tylko, co w tak głębokiem przekonaniu okolicznego ludu tam żyje, co w każdym roku zamkowe widzą służebniki, na co wreście jedna z mieszkających tam Księżniczek, własnemi patrzyła oczy.

Różnie różni widzenie to opowiadają, ja powiem, jak słyszałem, a słyszałem z ust pewnych. W zamku Rydzyńskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety wyższego stanu. Kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, zkąd się wzięła w tym zamku? nikt tego nigdy nie wiedział, nikt wiedzieć nie będzie. Obraz ten nie ma nic uderzającego w sobie, oprócz surowego nieco spojrzenia i ręki jednéj nienaturalnie jakoś położonéj. Palce téj ręki zdają się jakby przesilone, skościałe po jakimś czynie gwałtownym — może zbrodniczym. Nic łatwiéj wprawdzie jak o domysł podobny, w ktorym zapewne i cienia prawdy nie ma, tu przecież prędzéj wybaczyćby go można; stara bowiem i głucha wieść krążyła tu kiedyś, jakoby przed niepamiętnemi czasy w miejscu tem jakaś zbrodnia spełnioną być miała. Mówiono nawet i o dwóch sierotach, ale z taką niepewnością i ciemnotą rzeczy, że nikt prawie temu wiary nie dawał. Rzadko więc, bardzo rzadko o tem mówili ludzie, byliby nawet i wiecznie zamilkli, gdyby widmo ukazującéj się niekiedy w zamku kobiety, nie wywoływało czasami z pamięci téj bolesnéj powiastki.

Widmo to nie kłóci tak nielitościwie spokojności zamkowych mieszkańców, jak się to gdzieindziéj dzieje. Spotykają je tylko niekiedy klęczące na kurytarzu i zatopione w modłach; gościom nawet nocującym w przykaplicznym pokoju, cichem tylko o północy przypomina się stąpaniem; niewiast jednakże i drobnych dziatek nigdy snu nie przerywa, jakby na wrodzoną ich lękliwość względne.

Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, któréj nikt w zamku przespać nie może. Tych nawet, co nic nie widzą, nie słyszą, o niczem nie wiedzą, porywa jakaś febra niespokojności, zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę noc, choć niebo w koło tak jasne i pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a pobliższe drzewa ogrodu, choć żadnym niewzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedenastéj godziny słychać jakiś szum i łoskot w kaplicy, jakieś wyraźne chodzenie i ustawianie sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżéj przystępują, słuchają, zaglądają; twarze ich przecież bledną; wznoszą się włosy, całe powietrze zda się, jakąś nasiąkłe okropnością!

Uderza północ, roztwierają się same przez siebie drzwi kaplicy, zapalają się świece na ołtarzu, lecz jakimsiś dziwnem, bladem, błękitnawem światłem Widmo kobiety w białéj i długiéj szacie, z rozpuszczonemi włosy, wywiędłem boleścią obliczem, klęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza w koło, ukazuje się kapłan w ornacie ze mszą świętą idący. Okropny widok! .... kapłan ten jest kościotrupem, ... głowa jego trupią, ręce kielich niosące kościami tylko. Poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach, jeden z nich niesie ampułki, drugi mszał ogromny.

Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się, przyklęka, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecież głos, żadne westchnienie dosłyszeć się nie daje. W chwili tylko podniesienia ciała i krwi pańskiéj, głuchy odgłos kościanego dzwon-

ka, głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd — kapłan zasiada w krześle — widmo przystępuje do spowiedzi. O! jakże gorąco modli się wprzody! Jakiż to ciężar pierś jego rozpiera! Spowiada się, kapłan słucha i długo, długo słucha. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! jakże straszliwem musi być wyznanie tego widma, i jaka zbrodnia jego! Patrz, patrz, po trupiéj czaszce kapłana, zimny pot zlewa się strumieniem, w wydrążonych oczach błyska płomień oburzenia, wiszący obraz kobiety cały czernieje — jakiś głuchy grzmot daje się słyszeć nad zamkiem! . . . Drobne dwa szkielety, klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną! — Wyznała już wszystko, i schyla głowę i bije się w piersi na znak żalu i skruchy — bije silnie — płacze i czeka. Czeka chwil kilka — wreście podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi — przebaczenia! a kapłan jéj grobowym odpowiada głosem: Nie w tym roku jeszcze! . . . I kiedyż . . . kiedyż! . . . odzywa się widmo; kapłan milczy — wskazuje jéj na dwa klęczące szkielety — znika — gasną świece — zamykają się drzwi kaplicy — jęk tylko długi słychać za niemi, i na raz wszystko cicho — i ani śladu tego, co przed chwilą było!

M.

Filologia, filozofia i matematyka,

uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.

(Wyimki z ważnéj rozprawy pana L.)

(Ciąg dalszy.)

Krytyk utworzyć sobie musi obraz wszystkich właściwości autora, czerpiąc je z pism jego, z czasowych okoliczności, i z tego, co o nim z innych pisarzy wiadomo. Niepewność autora najwięcéj się tyczy dzieł starożytnych. W owych wiekach rzadkimi byli uczeni; ich nauki i poezye przechodziły w rękopismach z rąk do rąk, z pokolenia do pokolenia, i tylko tradycyą się utrzymywało, kto ich był autorem, a jak każda tradycya z czasem zatarła się. Już Alexandryjscy uczeni, którzy pierwsi zaczęli zbierać i wyjaśniać dzieła starożytności, uskarzali się na niepewność podań ich właściwych autorów. W późniejszych czasach weszło w modę naśladowanie i przyswajanie sobie stylu starożytnych pisarzy, wygórowano w téj dążności, zkąd się zrodziła chęć pisania dzieł w ich duchu, i wydawania ich pod ich nazwiskiem. Ze 130 komedyi Plauta, Marcus Terentius Varro tylko 21 uznał za oryginalne, Plautyńskie. Byli i lekkomyślni autorowie, co, czy z żartu, czy z chęci popisywania się, przytaczali tytuły dzieł nigdy nieexystujących. Znany był z dawnych czasów z tego względu Arystobulus. W końcu przyczyny, dla których dziś bezimienne lub fałszywoimienne pisma wychodzą, istniały także w starożytnych wiekach, co wszystko uzasadnia powody powątpiewania o prawdziwości autora, i usprawiedliwia ten rodzaj krytyki. Najwyższa trudność zachodzi przy estetyczném i naukowém osądzeniu dzieła. Filologiczna krytyka nie tworzy sobie ideału z estetycznych pojęć, które filozofia a priori rozwija; ale z objawionéj w pismach sztuki, prawidła jéj odrywa, w system pewny porządkuje, i podług tego zrobionego z utworów genialnych ideału, każde w szczególności dzieło sztuk pięknych mierzy. Takie kołujące się działanie, gdzie jedno drugiego razem jest warunkiem i wnioskiem, tylko przez zbliżenie wszystkich prac filologicznych prowadzi do dokładności. Tą samą drogą postępuje krytyka w dziełach rozumu. Produkt każdy, np. filozoficzny osądza się nie w stósunku do absolutnéj teoryi prawdy, ale w stósunku do całego filozoficznego systemu autora; w stósunku do teoryi szkoły, do któréj należy; wreszcie do filozofii, do jakiéj się cała starożytność wzniosła! Krytyka przechodząc w ten sposób wszystkie gałęzie nauk, umiejętności i sztuki, o ile w pismach Greków i Rzymian są złożone, daje nam pojęcie całéj starożytności we wszystkich kierunkach, któremi się duch wieku owego objawiał, i jest dla tego najwyższym szczeblem filologii.

Filologiczne ukształcenie do tego doprowadzone stopnia, wysokiego jest znaczenia, i niezaprzeczonych korzyści w naukowéj budowie nowego świata, co się na starożytności wzniósł fundamentach i na nich opiera. Zrozumienie wiekami od nas oddalonéj przeszłości ukończonéj w swoich granicach; pojęcie oświaty tak młodociannéj, tak bujno zakwitłéj; obeznanie się z życiem dwóch tak potężnych duchem narodów, z charakterami historycznemi tak wielkiemi przez zasługi, tak wzniosłemi przez cnoty, z dziełmi niezrównanemi dotąd w swym rodzaju: to wszystko ukształca rozum, gust i serce w sposób, jakiego ani nowożytna litteratura, ani tłómaczenia dzieł klassycznych nie nastręczają.

(Koniec o filologii; o filozofii następnie.)

Wielu historyków bardzo mylnie pojmuje rząd za panowania Piastów.

Może żadnego na świecie rządu, bardziéj nieskoślawiono, jak Polski za panowania Piastów. Wynikło to ztąd, że późniejsi historycy lekce ważyli, a niesłusznie, starych kronikarzy: że stali w stósunkach z dworem, że rzemiosła historycznego nie mieli za kapłaństwo narodowe, że chcieli dobroczyńcom spokojniejsze panowanie uczynić, że domowe stósunki cudzoziemską miarą mierzyli, że przewidywali tylko bliższą, a nie najodleglejszą przyszłość. Niektórzy ostatniego wieku historycy obłąkali się tak dalece w swojéj drodze, iż królów i książąt, o których sami powiadają, że ich nikt nie słuchał, obsadzają na nieograniczonéj, zupełnéj, ścisléj i prawem starszeństwa dziedzicznéj władzy. Rzućmy szybko okiem na najstarsze czasy, trzymajmy się ile możności świadków spółczesnych, a zobaczymy rzecz inaczéj.

Lechia w środku IX. wieku przez skupienie tych pokoleń, które się chciały bronić przeciw Sasom, powstała i wyniosła głowę na zachodzie słowiańszczyzny. Prowadziła wprawdzie wojny z naczelnikami, kniaziami, ale rosła nie podbijaniem, lecz przymierzami pokoleń. Jéj osady składały się z ludzi jednego stanu, ziemia nie była podzielona między właścicieli. Lasy, łąki, pasieki, troche rolnictwa, handel czerwcem, końmi, bydłem, skorami zwierząt dzikich, a może żelazem, ołowiem, solą i bursztynem, były źródłami zarobku. Władze miała niebardzo wymyślne i religijne, komunalne, sądowe, wojenne, centralizowały się w wiecach, to jest w zgromadzeniach ojców familii czyli starszych, Przed każdą wojną wybierano wodza, ale jak wojna zaczęła być ciągłą, ten wódz czasowy (może Ziemowit) został wodzem dożywotnim, jak Karól Wielki Karolem, czyli królem. Władza wiecowa utrzymała się nad wodzem dożywotnim. Skoro życie pasterskie i rolnicze z okoliczności zachodniéj Europy przekształciło się w Lechii na wojenne, natenczas starsi już nie z gromad wieśniaczych, ale naturalnie ze stanu wojskowego, to jest z rycerstwa wychodzić musieli. Jakoż czytamy w Gallu, że przedniejsi rycerze, towarzysze dworu, czyli c o m i t e s żyją poufale z Bolesławem Wielkim, z żonami swemi do stołu królewskiego siadają, króla w sądach, po zamkach, w wojsku zastępują. Król sam się prowadzeniem młodych rycerzy trudni i ich przewinienia chłostą w łaźni karci. Bolesław śmiercią i życiem rycerstwa rządzi, bo jest zawsze w wojnie, stoi zawsze przed nieprzyjacielem; więc choć w swoim narodzie starszym jest tylko bratem, przecież bratem obozowym głównie dowodzącym. Bolesław przed swoją śmiercią na wiecu gnieznieńskim wyrobił tron po sobie dla syna Mieczysława, którego ku większéj pewności nawet spółrejentem uczynił, bo nad sądownictwem przełożył. Ale Mieczysław polubił pokój i w pokoju znikła zaraz potrzeba karności wojennéj, znikła nawet potrzeba wodza dożywotniego, czyli króla, a tem samem zniknął rząd, pękło posłuszeństwo, zerwała się całość; rozdrobnione pokolenia kulbaczyli sobie mniéj zamożni, ale bitniejsi od Mieczysława rycerze i Masław owładał Mazowsze. — Po śmierci Mieczysława Kazimierz ma lat dwadzieścia, przecież jest silne stronnictwo, które, jak mówią późniejsi historycy, koronacyą odwłoczy, słowy zaś rzetelnemi stronnictwo, co władzy w jednym Piaście nie chce. Majestat tronu, który jako instytucya cudzoziemska od zachodu, a mianowicie od cesarzów przez Ryxę do Polski się wciskał, już znieważył, zastraszył, oburzył starą, odwieczną lechicką braterskość. Ten to majestat wypędza Ryxę i wypędza jéj syna Kazimierza, który dopiero ze saskiem wojskiem do Polski wraca, bo saskich chciał obyczajów. Kazimierz przy śmierci swojéj, jak utrzymuje Długosz, prośbą tylko jedna baronów, ż e b y p i e r w o r o d n e g o j e g o s y n a r o z t r o p n o ś c i ą i w i e k i e m z n a k o m i t s z e g o z a k r ó l a p r z y j ę l i. Mimo te prośby ojcowskie było jednak wielu przeciwników, aż nareszcie arcybiskup Stefan koronuje Bolesława II. Młody król nieotacza się cudzoziemskim majestatem, ale rzuca się do obozu między rycerstwo, i znowu jest panem życia i śmierci, bo jest głównie dowodzącym i w ciągłéj wojnie. Ale zatargi Rzymu z Cesarzem odbijają się w Krakowie, święty Stanisław ginie przez zbrodnią; tę naród karze wygnaniem, bo jéj sprawca jest tylko dożywotnim przez baronów obranym, a przez arcybiskupa zatwierdzonym urzędnikiem. Syn Bolesława Mieczysław miał już lat dwanaście, ale nie ma mowy o regencyi w jego imieniu. Władysław Herman w trzecim roku panowania sprowadza tego Mieczysława z Węgier, żeni go z księżniczką ruską, ale mu tronu nie oddaje. Sądzono, że ten Mieczysław został otruty, ale tylko przez nieprzyjacioł ojca, żeby się niemścił jego krzywdy; lecz ze starych kronikarzy żaden się niedomyśla, że dla praw do korony po ojcu. Władysław Herman znowu jak jego dziad niewojenny i znowu bez posłuszeństwa, bez poszanowania prawie podwładny wojennego Sieciecha. Jedna z córek Władysława idzie za rycerza krajowego, bo mała różnica między Piastem a rycerzem. Niekontenci z Sieciecha rycerze, Zbigniewa tylko na-

turalnego królewicza wynoszą na książęcia Wrocławskiego, choć żyje, panuje i przeciwny temu jest ojciec. Nie mała władza rycerzy i duchownych, kiedy na ich żądanie Władysław to wszystko zatwierdza i ze Zbigniewem się godzi. Znowu tylko na wojnie wyjeżdża Bolesław Krzywousty do góry; ale się pisze *princeps polonorum et maritimorum monarcha*. Mniéj sobie władzy przypisuje nad Polanami i Chrobatami, aniżeli na Pomorzu: *princeps* znaczy tylko głównie dowodzącego, przedniejszego między rycerzami, jak to w Gallusie dostatecznie widać; *monarcha* zaś znaczy tu prawem podbicia, prawem koniecznéj uległości panującego, rządcę dziedzicznego. W sądzeniu zdrady Zbigniewa, który przecie nad połową kraju panował, już też łatwo się i ślepemu domacać, że przedniejsi rycerze zebrani w radę, a których Mateusz Cholewa *patres conscripti*, a zatem senatem zowie, więcéj znaczyli niż panujący, skoro względem śmierci i życia jednego z panujących rozstrzygali.

Krzywousty w piśmiennym testamencie kraj dzielił. Prawda, ale to nam przeszkody nierobi: małym byłyby dowodem wszelkie dyplomata i pisma książąt. Że Piastowie chcieli być nieograniczonymi, dziedzicznymi, panami wszystkiego, że tak pisali, jakby byli, o tem niepowątpiewaliśmy; tylko rozbieramy z téj strony pytanie, o ile się w tem utrzymali, o ile im to przyznano. Wreszcie testament ten był w duchu prałatów i baronów, musiał się stać ważnym, popularnym nawet, bo słabił siłę jednego, w interesie, z korzyścią bardzo wielu; iż jednak nieuważano go za prawny; to ztąd wnieść można, że Władysław łatwo, prawie bez oporu, pobrał braciom władzę. Ale że chciał być królem dziedzicznym na swoję rękę, sam jeden i na wzór zachodni, nielechicki, że żona urządziła w Krakowie majestat podobny do cesarskiego; ulękła się tego znowu odwieczna narodowa braterskość i po staremu, jak niegdyś Ryxa z Kazimierzem, tak i Agnieszka z Władysławem tam poszli, zkąd wciskali obcą formę i zagraniczną dworską wyniosłość. Kiedy na wyprawie pruskiéj zginął Henryk, bracia zaczęli się kłócić o spadek i zdali się potem na sąd duchownych i rycerzy. Musieli więc Piastowie poważać rycerzy, skoro się ich wyrokowi poddali. Książęta śląscy, którzy już powagę monarchii inszą z Niemiec przejmowali, pogardzili tym wyrokiem poddanych, ale też narobili krzyku pomiędzy rycerstwem całéj Lechii i jednak musieli się skłonić. Bolesław Kędzierzawy był książęciem, a Jaxa z Miechowa i Świętosław ofiarowali rządy Kazimierzowi. Na czem ma polegać nieograniczone i absolutne panowanie Kędzierzawego nad całą Lechią, to trudno wykryć, bo jego i w Krakowskiem mało kto słuchał.*) Po śmierci Bolesława spór między małoletnim Leszkiem a Mieczysławem starym o władzę nad Krakowem pierwsi z duchownych i rycerzy rozstrzygali, to jest książęcia z rodziny Piastów sobie obierali. Mieczysław, że sprowadził Kietlicza świadomego rządów zachodnich, że ścisły monarchiczny porządek we wszystko chciał wprowadzić, oburzył także na siebie starożytną lechicką braterskość i znowu jak przodek Kazimierz i jak brat Władysław, na wygnaniu pokutować musiał. Synod łęczycki za Kazimierza Sprawiedliwego r. 1180 odprawiony, który historycy chcą uważać za pierwszy pączek senatu, był zwyczajną starożytną naradą wiecową, która od duchowieństwa i ojców familii przedchrześciańskich, przeszła w ręce prałatów i baronów to jest starszych księży i starszych rycerzy. Toć prawda, że w dalszych wiekach nietylko w senat, ale i w sejm i w najjaśniejsze stany się zamieniła.

Kiedy Mieczysław Stary użalał się przed senatem cesarskim, natenczas w swéj skardze przyznawał ludowi władzę nad sobą, bo według podania spółczesnego Kadłubka wyrzekał, że mu odebrano rządy: »bez oskarzyciela, bez sędziego, bez świadectw, bez wszelkiego poparcia pismami, bez pozwu, bez przewiedzenia, bez jego zeznania.«

Senat zaś cesarski rozwięzując skargę Mieczysława, oświadczył wyraźnie »że Polakom niemożna zaprzeczać prawa obierania sobie książęcia, gdyż to jedno jest miéć rządcę niezdatnego albo wcale niemiéć rządcy; ani się godzi Kazimierza przez nienawiść dla jego cnot z panowania strącać.« **)

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Pamiętnik naukowy krakowski Nr. 8. zawiera nader zajmujący romansowo-historyczny artykuł:

Ostatek życia Joachima Murata przez A. Dumas, przełożony na polskie.

Murat występuje tu jako tułacz w okolicach Tulonu ścigany od rządu, ukrywający się już to u siostrzeńca swego Bonafoux, kapitana fregaty, już to u P. Marouin, obrońcy sądowego, mającego w bliskości Tulonu wioskę, w którém-to ustroniu Murat cały miesiąc spokojnie mieszkał. Lecz gdy nadzieja pozostania w Francyi upadła na zawsze, trzeba było koniecznie uciekać: uczyniono wszelkie przygotowania,

*) Wielką władzę przypisuje mu Ossoliński w rozprawie O rozmaitem następstwie na tron za Piastów. Lwów 1833.

**) Cap. XII.

ale gdy zamówiony statek w oznaczonym czasie nie przybył, król w niebezpieczeństwie bierze łódź rybacką, która go na okręt zawieść miała. Tymczasem rybak, domyślając się rzeczy, zmienił nagle swe zdanie i wysadził go znowu na ląd, gdzie liczny oddział żandarmów, szukających króla, wszystko przetrząsał i tropił. Joachim ukryty w zwaliskach muru, uszedł szczęśliwie ich pogoni.

Nakoniec 22. Sierp. 1815. o 10. godzinie odpłynął na słabéj łodzi rybackiéj, kierowanéj przez trzech officerów marynarki, dążąc do Korsyki. Tu wytrzymać musiał straszliwą burzę: w chwili zajaśniała błyskawica, zaryczał grzmot, lekka piana wystąpiła na powierzchnią wody i łódź zadrżała jak żyjąca istota. Murat poznał zbliżające się niebezpieczeństwo, powstał z uśmiechem, zrzucił kapelusz, rozgarnął długie włosy, wciągał w siebie oddech burzy, jak na polu bitwy zwykł był wciągać dym prochowy. Wkrótce burza się wzmogła i wpadła na podróżnych jak dzielny rumak, którego nozdrza zieją wiatrem i ogniem, którego rżenie jest grzmotem, a z pod którego nóg błyska piana bałwanów. Gwałtowny wicher ugiął maszt, gdyby wątłą trzcinę i okrył łódź bałwanami. Położenie tych czterech osób było prawdziwie okropne. Woda coraz bardziéj cisnęła się do czołna, król i jego towarzysze stali już po kolana w morzu. W takim to stanie będących spotkał statek pocztowy pełniący służbę między Tulonem a Bastią i wyratował tonących.

25. Sierp. król wylądował w Bastia. Korsykanie przyjęli go z największym entuzyazmem: wkrótce wyspa cała przemieniła się w królestwo Joachima. Rozbiegały się dziwne wieści o zamiarach Murata, którym wojsko z 900 ludzi złożone nadawało niejakieś podobieństwo do prawdy, gdy wchodził do Ajaccio, cała prawie ludność po za bramami miasta czekała na jego przybycie. Wejście do miasta najwspanialszemu równało się tryumfowi, zaniesiono go na rękach do przeznaczonego mieszkania. Wszystkie te okoliczności przejęły duszę Murata najżywszą radością i rzekł do swych towarzyszy: »Widzicie, jak mnie przyjmują Korsykanie, czegoż więc nie zrobią Neapolitańczycy!«

Od téj chwili Murat wszystko do wylądowania w Neapolu gotować kazał. W dzień odjazdu nad domem powiewała chorągiew Joachima, jak gdyby nad zamkiem królewskim. Ajaccio wspaniale oświecone, przepełniało się okrzykami radości. Zaledwie się Murat pokazał, powstał powszechny okrzyk radości: »Niech żyje Joachim! niech żyje brat Napoleona i król Neapolu!«

Mała flotylla Murata z dziesięciu małych okrętów, pod dowództwem dawnego kapitana fregaty z marynarki neapolitańskiéj Barbara, rozwinęła żagle. 8. Października znajdowali się na wysokości Pizzo. Tu Joachim wszedł do szalupy z 28 żołnierzami i 3ma domownikami. Miał na sobie mundur generalski, spodnie białe, buty napoleońskie, pas z dwoma pistoletami, kapelusz ze złotym galonem i kokardą, w ręce zaś trzymał chorągiew, około któréj spodziewał się zgromadzić swoich stronników.

W téj właśnie chwili zegar w Pizzo dziesiątą uderzył. Była to niedziela; wielką mszę dopiero co rozpoczęto, a cała ludność zgromadziła się na placu publicznym. Król stanął pośród niéj; ale nikt go nie przywitał. Murat poznał między wieśniakami dawnego sierżanta ze swojéj gwardyi, zbliżył się do niego i rzekł: »Tavella, czyliż mnie nie poznajesz, jestem Joachim Murat, twój król, ciebie spotyka szczęście, że możesz wołać pierwszy: »Niech żyje Joachim!« Grono towarzyszące Muratowi powtórzyło z zapałem okrzyk królewski; zabrzmiało powietrze tym odgłosem, ale kalabryjczyk milczał i żaden z towarzyszów nie wykrzyknął hasła — głuchy tylko szmer zaczął biegać po tłumie. Zrozumiał go Murat, i usłyszał w nim odległe ryczenie burzy.

»Do Monteleony!« zawołał nareszcie zniecierpliwiony Joachim i ruszył pierwszy drogą prowadzącą do tego miasta: a tłumy zawsze milczące rozstąpiły się i wolne otworzyły przejście. Lecz zaledwie opuścił plac publiczny, rozruch powstał wielki, dał się słyszeć okrzyk »do broni, do broni!« Wkrótce zebrało się 500 ludzi zbrojnych. Tłumy gwałtownym rzuciły się pędem w pogoń za Muratem. Murat chciał jeszcze do nich przemówić, powiewając chustką; lecz w téj właśnie chwili powszechny nastąpił wystrzał: padł jeden oficer i dwóch żołnierzy. W podobnych okolicznościach, gdy krew płynąć zaczyna, nie ma już nadziei pojednania. Murat znał tę straszliwą prawdę i wiedział, że stanowcze kroki naglemi być powinny. Przed nim stało 500 uzbrojonych, za nim przepaść 30 stóp głęboka; jednakże nie wahał się, stanął nad jéj brzegiem, skoczył, upadł na piasek i podniósł się bez najmniejszego szwanku. General Francescetti i adjutant Campana poszli za jego przykładem, skok ich również był szczęśliwy i wszyscy dążyli ku brzegom morza. Lecz okręty składające flotę, zamiast popierać wylądowanie króla, z rozwiniętemi żaglami uciekały na otwarte morze. Tak więc Maltańczyk Barbara nie tylko unosił majątek Murata, ale nawet jego ocalenie i życie. Jednakże Murat nie wierzył w tak straszną zdradę, sądził, że to oddalenie było wykonaniem jakiegoś planu, a widząc łódź rybacką na brzegu, leżącą w pośród rozciągniętych sieci, wołał na towarzyszów: »Pchnijmy ją na morze!« Wszyscy trzej z rozpaczą usiłowali zepchnąć czołno na wodę; nikt zaś z nieprzyjaciół nie odważył się skoczyć ze skały i ścigać uciekającego Joachima, zmuszeni więc inną udać się drogą, kilka chwil wolnych nieszczęśliwym zostawili; lecz wkrótce powstały straszne krzyki, poczém nastąpił powszechny wystrzał, kula przeszyła pierś Campany; ale łódź już kołysały bałwany. General Francescetti pierwszy do niéj wskoczył, Murat podobny krok zamierzał, lecz ostrogi zaplątane w sieci, niszcząc gwałtowne wysilenie, obaliły go na ziemię. Zanim podnieść się zdołał, już go otoczyły tłumy i wraz pojmanym został. Zaprowadzono go do zamku i wtrącono do więzienia.

Przybyły z wojskiem general Nunziante odebrał z Neapolu rozkaz stawić Murata przed sąd wojenny, jako nieprzyjaciela publicznéj spokojności; skazanemu na śmierć dozwolić tylko półgodziny dla odebrania religijnéj pociechy. Sąd zgromadził się w nocy i wysłał kapitana Francesca Troja do więzienia, który się Murata o imię, wiek i ojczyznę zapytał. Na to zapytanie powstał Murat z wyrazem straszliwéj godności: »Jestem Joachim Napoleon, król obojga Sycylii,« zawołał, i rozkazuję ci wyjść natychmiast; schwytaliście mnie, możecie zamordować.« Kapitan dopełnił rozkazu, a Joachim usiadł i następujące pożegnanie żonie i dzieciom przesłał:

Karolino, kochanko mojego życia!

Nadeszła nieszczęsna godzina, umieram na rusztowaniu! za chwilę nie będziesz miała męża, a nasze dzieci ojca. Nie wypuszczaj mnie z pamięci. Umieram niewinny, sąd nieprawy odbiera mi życie.

Żegnam cię mój Achillesie, Letycyo, Lucyanie i Ludwiko. Bądźcie mnie godni, panujcie nad przeciwnością, a myśląc o tém, czém byliście, nie zapominajcie nigdy, czém jesteście.

Żegnam was i błogosławię, nie złorzeczcie nigdy pamięci mojéj. Najwięcéj cierpię w ostatniéj chwili życia mojego, że umieram zdaleka od dzieci i żony, że nie mam ani jednego przyjaciela, któryby zamknął oczy moje.

Żegnam cię Karolino, żegnam was dzieci, odbierzcie błogosławieństwo ojcowskie, czułe łzy i ostatnie ucałowanie; nie zapominajcie nigdy o nieszczęśliwym ojcu!

Pizzo, 13. Paździer. 1815.

Joachim Murat.

Po ukończeniu listu uciął sobie włosów i włożył wewnątrz listu. W téj chwili wszedł general Nunziante. Murat wyciągnął do niego rękę: »Generale,« rzekł, »jesteś mężem i ojcem, dowiesz się kiedyś, jakto jest boleśno opuścić żonę i dzieci; przysięgnij mi, że ten list dojdzie celu swego przeznaczenia.« — »»Na moje szlify!«« odrzekł general ocierając łzy z oczu. — »Dosyć, generale, bądź odważnym, wszakże jesteśmy żołnierze, znamy się dobrze ze śmiercią; o jednę tylko proszę łaskę, pozwol mi samemu dać znak wystrzału!« »Potém zapytał się: »O któréj godzinie mam umrzeć? — »»Wyznacz ją sam, Najj. panie,«« odpowiedział general. Murat dobył zegarka i rzekł: »Wyznaczam czwar-

tą godzinę, już jest po trzeciéj, o pięćdziesiąt minut proszę was tylko; wszakże nie wiele wymagam?«

Gdy generał wyszedł z więzienia, Murat kilka chwil chodził po izbie szybkim krokiem; potém usiadł na łożu i twarz obiema zakrył rękami; w takiéj postawie zostając przez ćwierć godziny, przebiegł zapewne myślą całe swoje życie — od domu zajezdnego, czyli swojéj kolebki, aż do pałaców królewskich, w które go los zaprowadził. Wszystkie awanturnicze koleje rozwinęły się w jego umyśle, jako sen złoty lub powieść z tysiąca i jednéj nocy; porzucił nakoniec tę wewnętrzną zadumę, zbliżył się do zwierciadła i ułożył włosy; dziwny więc jego charakter teraz go nawet nie opuścił; zaręczony ze śmiercią, chciał w pięknéj przed nią stanąć postaci.

Nakoniec wybiła czwarta. Murat sam drzwi otworzył i udał się na dziedziniec, gdzie już wszystko było w pogotowiu. Dziewięciu ludzi i sierżant, uszykowani w jeden szereg, stali przed drzwiami izby sądowéj, naprzeciwko wznosił się mur dwanaście stóp wysoki, o trzy kroki przed murem postawiono rusztowanie o jednym tylko stopniu. Murat stanął na tém miejscu śmierci, panując nad ludźmi, którzy go zabić mieli; wydobył zegarek, na którym był portret jego żony, ucałował go i z zwróconemi nań oczyma wydawał rozkazy nabijania broni. Na komendę: pal! pięciu tylko strzeliło żołnierzy, a Murat stał nieporuszony, bo wszyscy prawie, nie chcąc odebrać mu życia, ponad głowę celowali.

W téjto chwili najwspanialéj zajaśniała owa lwia odwaga, która tak właściwą była Muratowi: nie zmienił ani jednego rysu twarzy, ani jeden muszkuł nie drgnął, a spoglądając na żołnierzy z gorzką wdzięcznością, rzekł: »Nie przedłużajcie mojego konania, proszę was, mierzcie dobrze w serce, a oszczędzajcie twarzy.« I tymże samym głosem, z tą spokojnością powtarzał słowa śmierci jedne po drugich, ani zbyt wolno, ani nagle, jak gdyby wykonywał tylko obrot wojskowy. Na wyraz »ognia« padł przeszyty ośmiu kulami bez znaku życia, nie wypuszczając zegarka, który mocno ściśnięty w lewéj ręce trzymał.

Żołnierze podnieśli trupa i złożyli na łożu, na którém przed dziesięciu minutami jeszcze siedział.

Doniesienia literackie.

O najnowszych dziełach w W. X. Poznańskiém z druku wyszłych.

(Dokończenie.)

c) Z technologii i agronomii:

Przewodnik do nowego sposobu pokrywania płaskich dachów przez J. F. Dorna, z rysunkami etc. przez J. H. Rychtera. Przełożył A. Krzyżanowski. W Poznaniu 1837.

O stanie teraźniejszym chodowania merynosów, z niemieckiego J. F. Wagnera. W Poznaniu 1837.

Uwagi gospodarskie Albrechta Blocka. (Przekład P. Żupańskiego) w Poznaniu. Wyszło tomów trzy; blizkie ukończenia.

O uprawie lasów, piąte poprawne wydanie, ułożone przez Augusta Kottę, (tłumaczone przez P. Żupańskiego). W Poznaniu 1838.

Funt cukru za 15 groszy polskich i t. d. W Poznaniu 1837.

d) Z teologii:

Nauka chrześciańsko-katolickiéj religii historycznym sposobem dla użytku szkół elementarnych wyłożona (z niemieckiego). Leszno 1838. Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

Archiwum teologiczne na rok 1837; pismo peryodyczne wydawane przez X. Kanonika Jabczyńskiego.

Słowa pokoju i miłości ofiarowane panu Jaeckel pastorowi w Dobrzycy. Przez X. Franke. W Poznaniu 1837.

e) Z literatury pięknéj:

Życie i przypadki Faustyna Felixa na Dodoszach Dodosińskiego przez nieznajomego autora, wydane z rękopisma przez Edwarda Raczyńskiego. W Wrocławiu 1838.

Sen, czyli Edward marzący. Powieść oryginalna przez Gabryela Naszberga. W Wrocławiu nakładem Zygmunta Schlettera 1838.

Nowe rozrywki dla dzieci (Tańskiéj). W Wrocławiu 1838.

W druku znajduje się w Wrocławiu: *Ziemiaństwo Koźmiana,* dzieło wyborne. G.

Na posiedzeniu towarzystwa statystycznego francuzkiego dnia 18. Czerwca w Paryżu odbytém przyznany i ofiarowany został p. Andrzejowi Słowaczyńskiemu medal srebrny za prace i badania w przedmiocie statystyki. Jest to drugi medal, który tenż towarzystwo p. Słowaczyńskiemu przyznało.

Wyszedł z druku 2go tomu pierwszy poszyt Pamiętnika towarzystwa lekarsko-warszawskiego.

P. Jasiński przetłómaczył z francuzkiego jednoaktową komedyą »Godzina małżeństwa« graną z wielkiém zadowolnieniem widzów na teatrze Rozmaitości w Warszawie.

L. Jastrzębski wyda wkrótce »Zbiór pamiętników o dawnéj Polsce.«

Kraszewski już jeden tom swéj historyi Wilna drukiem ogłosił, dwa następne gotowe do druku, dwa jeszcze dalsze sposobi. Z poezyi jego tom 3ci wkrótce z druku wyjdzie.

Nowości czeskie. Bracia Preszl, którzy już zoologią, botanikę, technologiją i chemią wydali, redagują obecnie peryodyczne pismo »Krok.« — Hanka gotuje nowe wydanie dzieł Dobrowskiego. — Belletrysta Tyl, który około 50 dzieł teatralnych napisał (wiele tłómaczeń), wydaje swe powieści i poezye. — W niemieckim języku wyszło w Czechach dalszy ciąg topografii Somera, i Palackiego historyi Czech. — Sternberg wydał pierwszy tom czeskich kopalń. — Legis-Glükselig wydał historyą prawa czeskiego i życie Dobrowskiego.

Leo wydał nowe dzieło Lehrbuch der Universalgeschichte. Pismo Jahrbücher für Philos. und Pädag.; mówi tak o niem: Henryk Leo, jeden z najlepszych niemieckich historyków, przebiegłszy cały obszar materyałów historycznych, przeniknąwszy swym bystrym wzrokiem ową od tylu uczonych nagromadzoną massę, wydobywa z niéj mocą swego geniuszu ogólne, każdemu wiekowi przewodniczące idee; wyświeca je, i zapomocą filozoficznych kombinacyi, częstokroć opartych na faktach, na pozor mniéj ważnych, lub mniéj znanych, okazałą swą budowę uniwersalnéj historyi wznosi. Odznacza go pomiędzy innemi religijny element; ponieważ Leo jest tego zdania, że wszystkie prawa i ustawy w narodzie są tylko odcieniem religii ludu, i że w charakterze każdego państwa piętno religijne najwyraźniéj się odciska; ztąd tak różne w starożytności kształcenia się drogi, ztąd jedność rozwijających się wszędzie form od przewagi chrześciaństwa. Pomimo tego jednak historyk ten tak wielki nie jest wolny od przesądów. Nie dość że wszędzie swoje filozoficzne upatruje principia; ale zaślepiony hyperarystokratyczną tendencyą, a nienawiścią przeciw liberalizmowi, potępia i niczyje częstokroć najoczywistsze fakta, aby się tylko przy swojem utrzymać, tak np. w historyi rzymskiéj początkową formę rządu uważa za arcydzieło; zaś Tullius Servius jest podług niego ein Verderber der alten, einfachen, herrlichen Ordnung des aristokratischen Roms.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*